



# Pegaz

## Henry Kuttner

Chcę wam opowiedzieć o Jimie Harrym Worthcie i o szkaie ze skrzydłami. Mnóstwo ludzi uważa teraz mity za zwykłe bajdy na resorach, za bajki rozdmuchane przez starych, którzy opowiadają je młodym. Każdy kraj ma swoje legendy; na przykład w Chinach słyszałem o smoczych... Ale to nie na temat, bo ja chcę wam opowiedzieć o Jimie Harrym i zaczarowanym koniu, którego sobie zdobył. Był wysokim, chudym, ogorzałym jak orzech chłopakiem o pociągłej twarzy, niezgrabnym, jak to wyrostek, gdy stał nieruchomo, ale w ruchu pełnym gracji niczym źrebię. W rodzinie mieli farmę w Imperial i Jim Harry tam dorastał, tam uczył się chodzić w codziennym kierunku i tam, skończywszy swoje lata, poszedł do szkoły. Kochał konie.

Umiał na nich jeździć i skwapliwie z tego korzystał. Kraj tu rozległy i wielki. Dzieciak może się położyć na plecach na żółtych zboczach i gapić w niebo, które jest wiekiem całego świata. Może tam tak leżeć i patrzeć na dryfujące chmury, dopóki nie wyczuje pędu planety poprzez wszechświat, i ma czas na rozmyślanie. Jim Harry tak robił, wiem to. Chłopak miał rozmarzone oczy, a jego stopy dolcnięte były żądzą włóczędzy. Z początku nie wiedział, co to takiego. Zwykle galopował na złamanie karku po całej okolicy i wędrował po niej, kiedy nie miał konia. Potem, w szkole, nauczył się czytać i Dolina stała się dla niego więzieniem, tym gorszym, że nie miała granic.

To marzenie w jego oczach i te niespokojne stopy - tak, tylko że są one dla człowieka przekleństwem i błogosławieństwem zarazem. Ja to wiem. Wędrujesz i co gorsza, czegoś po drodze szukasz, a nie wiesz czego i możesz tego nigdy nie znaleźć.

Starasz się odpowiedzieć na pytanie: nie wiesz, co to za pytanie: i w końcu pozostaje ono bez odpowiedzi. Kiedy się w końcu zmęczysz, jesteś gotów sięść na słońcu i rozmyślać, ale nie wtedy, kiedy jesteś młody. Tak więc młody Jim Harry dużo rozmyślał i wiele czytał, a w pewien zły dzień zapytał o nagą, bezwodną i starą górę Breadloaf wznoszącą się na południu.

- Nikt tam nie łązi - odparł Andy Worth, tata Jima Harry'ego.

- Ale czy nikt nigdy tam nie poszedł?

Andy nie sądził, aby tak było, ale musiał jechać do miateczka, żeby kupić parę nowych siodeł, tak więc rozmowa właściwie na tym się urwała. Sarah, matka Jima Harry'ego nie wiedziała nic ponad to i poradziła chłopcu, żeby nie zaracał sobie głowy takimi głupstwami. A więc Jim Harry wyszedł z domu ze starszym bratem Tomem, który zastawiał sidła i który wyśmiał tylko jego rozterki.

Ale prawdy dowiedział się od Tante Rush, o której jedni mówili, że jest paisano, inni, że była kiedyś sławną kobietą i widziała Europę. Teraz mieszkała w wałacej się chacie przy strumieniu, hodowała świnie i kury, była wiedźmą o twarzy przypominającej uschnięty włoski orzech i oczach błyszczących jak granaty. Ludzie mówili, że jadała szalej, i może tak było. Tak czy inaczej, była samotną staruchą, a ponieważ lubiła toarzystwo, nauczyła się słuchać i przytakiwać. Dzieciaki wpały do niej na godzinkę pogawędzić, a ona usiłowała przekuić je skromnym poczęstunkiem, byle tylko zostały dłużej. Jim Harry odwiedzał Tante Rush często, bo pozwalała mu się wyadać i nie śmiała się z niego, a jak już, to życzliwie. Tante Rush twierdziła, że na szczycie . góry Breadloaf może coś być.

- Po mojemu, nikt nigdy tam nie był - mówiła stara. iężko się tam wdrapać, co, Jim? Nigdy się tam nie wdrapywałś?

- Prawdopodobnie nic tam na szczycie nie ma. Tyle że to najwyższe miejsce w promieniu wielu mil. Widać stamtąd drogę przez Dolinę. - Chłopiec odpędził kwokę, która przydreptała dziobać jego znoszo:zy but. - Może nawet wiać Pacyfik.

- Tam po drodze są góry, młodzieńcze. Nigdy nie wiziałeś oceanu?

- Byłem raz we Frisco z tatą. I dostałem lanie, bo uciełem i pojechałem do Sausalito - wspinać się na Tamalais.

- Lubisz się wspinać, co?

- Taak - przyznał. - Lubię wysokie miejsca. Powiedz, słyszałaś kiedyś o Piegazie? - Żle wymówił to słowo, parząc w górę, na Breadloaf.

- Nie. A co to?

- Takie opowiadanie. O koniu ze skrzydłami. Podobno żyje na górze, a w każdym razie sfruwa tam co jakiś czas. - O jednorożcach to słyszałam - powiedziała z powątowaniem Tante Rush poruszaj ąc w tę i z powrótem rozhwianym siekaczem. - Rogi to mogą koniowi wyrosnąć, ale skrzydła chyba nie bardzo. Po co by mu były?

- Nie wiem. - Jim Harry przekręcił się na plecy i leżał w zielsku obserwując chmury sunące w kierunku Góry Bredloaf. Nie odzywał się przez jakiś czas; potem mruknął sennie: - Zastanawiam się, czy na szczycie Breadloaf nie ma czasem Pegaza.

- Nie byłabym zdziwiona - wymamrotała zgodnie Tane Rush. - I tak nie znajdzie się taki, co by powiedział, że nie ma.

- Wydaje mi się... a może... - Jim Harry usiadł. zisiaj nie mam właściwie nic do roboty. Muszę tylko narawić stodołę, a to może trochę zaczekać. Chyba wdrapię się na Breadloaf.

- Jest za gorąco - zaoponowała starucha wzdychając. - Jak trochę poczekasz, to upiekę

kukurydzianych placów.

- Nie. - Wstał, odszedł kawałek, ale zawrócił. - Masz trochę cukru?

Tante Rush znalazła parę bryłek, które Jim Harry wrzucił do kieszeni farmerek. Potem ruszył gościńcem. Kiedy zniknął już z oczu, stara wybuchnęła nagle piskliwym, rehotliwym, starczym śmiechem. - Ach te dzieciaki - wymruczaa. - Te dzieciaki! - W ręku został jej kawałek cukru. Wcisnęła go sobie do ust i zaczęła wolno żuć. - Koń ze skrzydłami! Te dzieciaki!

Ale Jim Harry podchodził pod Górę Breadloaf i po chwili spotkał śmiesznego, powykęcanego, garbatego karła, który kuśtykał ścieżką podpierając się zakrzywionym kosturem. Człowieczek spojrzał na Jima Harry'ego przenikliwie i poiedział: - Słyszę, że idziesz po skrzydlatego konia, chłopcze.

Jim Harry poczuł się dziwnie nieswojo i miał ochotę zarócić i uciec. Ale karzeł wyciągnął swoją zakrzywioną lakę i zagroził mu drogę.

- Nie bój się mnie, młodzieńcze - powiedział. - Jesteś przecież dwa razy większy ode mnie. A jeszcze nie przestaes rosnąć.

Jim Harry wypiął pierś, żeby mężniej wyglądać, chociaż wiedział, że jest chudy nawet jak na swój wiek. -Nie znam pana - powiedział.

- Ale ja już ciebie widziałem w miasteczku. A więc wyrales się szukać Pegaza.

- Czy tak się to imię wymawia? - Jim Harry zarumienił się, bo pomyślał, że karzeł naigrywa się z niego. - Wcale nie. Ja sobie tylko spaceruję. .

Głęboko osadzone oczy tamtego trochę posmutniały. zybko się uczysz, chłopcze. Już obawiasz się śmieszności. Idź dalej, wejdz na Breadloaf, znajdziesz Pegaza. Ale jak, u diabła, zamierzasz go dosiąść? Nie da się osiodłać, ale będzie ci potrzebna uzda.

Jim Harry pomarkotniał i zaczął kreślić czubkiem buta wzory na piasku.

- No nic, wspinaj się dalej , a j a wcale bym się nie zdziił, gdybyś znalazł jakąś uzdę gdzieś na skale. Ale nie zapoinaj , że Pegaz należy do nieba. Stanie się twoimi stopami i zabierze cię hen, daleko; stanie się twoimi oczami i ujrzysz cudowne rzeczy. Ale nie pozwól mu długo pozostawać na ziemi.

Te ostatnie słowa ścichły w oddali niczym poszept wiatru. Kiedy Jim Harry podniósł wzrok, człowieczka nie było, choiaż gdzieś z dołu dolatywało postukiwanie jego laski. Chłopca kusilo, żeby zejść w dół po jego śladach, bo był wrażliwy na kpiny. Ale potem spojrzał w górę i zobaczył wierzchołek Góry Breadloaf i już nie potrafił się powstrzyać. I dziwna rzecz, ale po przejściu około pół kilometra Jim Harry ujrzał paradną uzdę leżącą na skale, tuż obok ścieżki. Z początku trochę się przestraszył, ale zaraz ruszył dalej pod górę, zabierając ze sobą uzdę i zachodząc w głoę, kim był karzeł.

Droga na szczyt była trudna. Jim Harry krwawił w kilku miejscach, a jego farmerki znajdowały się w opłakanym stanie, kiedy wreszcie wdrapał się na grań i stoczył po trawiastym zboczu. Wstał i obejrzał się dookoła. Wierzchołek nie był zbyt rozległy; miał kształt spodka porośniętego bujną trawą, a w znajdującym się pośrodku zagłębieniu utworzyła się sadzawka deszczówki. Rosło tam trochę krzaków, ale nigdzie nie było śladu konia, ani skrzydlatego, ani żadnego innego.

Jim Harry podszedł więc do krawędzi i wyjrzał na rozpościerający się pod nim świat. Dolina Imperial wydawała się mała i nierzeczywista na tle niebieskawego pasma górskiego rysującego się na zachodzie. Za nim piętrzyły się przykryte białymi czapami góry Sierra. A podmuchy wiatru, które czuł na sobie, na pewno nie zrodziły się w płucach ziemskiej istoty.

Jim Harry'ego zaczynały świerzbic stopy i zapragnął ruzyć pieszo poprzez powietrze na zachód, za te widmowe, zamglone dale i w drugą stronę, nad Sierrę. I na północ, tam gdzie śnieżne krainy, i na południe, gdzie Meksyk i Paama; cud, że Jim Harry w tym podnieceniu nie przekroczył krawędzi szczytu, nie spadł i nie zabił się. Ale coś kazało mu spojrzeć w górę, a tam, na niebie, pojawiła się plamka, która rosła w oczach.

Może to marzenie w oczach chłopca spowodowało, że

rozpoznał Pegaza. W każdym razie zbiegł na dół do sadzawki i rozrzucił tam kilka bryłek cukru, a potem wysypał okruskami ścieżynę do najbliższych zarośli. Schował się w tych zaroślach i czekał. Nadleciał Pegaz.

Och, ten koń wprowadziłby w zachwyt samego Boga! Był to ruak o dumnie wygiętej szyi i wspaniałych chrapach, pokryty białą sierścią skrzącą się niczym same gwiazdy, z grzywą falującą jak jutrenka i z oczyma, które potrafiły być czerwone jak szaleący płomień, to znowu łagodne i wilgotne jak u dziecka. Boże, człowiek mógł umrzeć ujrzawszy Pegaza i uważać się za bardzo szczęśliwego. I te skrzydła u ogiera! Rozpościerały się od barów białe jak pióra czapli, mocarne i połyskujące w słońcu. Nadlatywał zataczając kręgi. Krążył to opadając, to podywając się płochliwie w górę, biały na tle błękitu, aż w końcu wylądował obok sadzawki lekko niczym wróbel, składając wielkie skrzydła i bijąc kopytami w ziemię. Popił z umiarem deszczówki, poskubał trawę i zaczął brykać wierzgając zadnimi nogami jak źrebak i rżąc radośnie, jak to konie, i sięgając za siebie pięknym łbem, żeby skubać pierzaste skrzydła, a Jim Harry obserwował to wszystko jak we śnie. W końcu znowu zabrał się do skubania trawy i natrafił na cukier. Być może pomylił go z ambrosją. W każdym razie zasmakował w słodczy i zbliżył się jej tropem do krzaka, za którym czaił się Jim Harry. Tam chciał zawrócić, ale było już za późno. Chłopiec zarzucił uzdę i kiedy Pegaz rozpotarł skrzydła do lotu, Jim Harry wskoczył mu na grzbiet i znalazł się w powietrzu!

I wielki ogier pomknął w górę jak raketa, a chłopiec wyzuwał udami drzenie jego mięśni. Skrzydła biły powietrze z grzmiotem pioruna. Pegaz odrzucił w tył łeb i wydał z siebie krzyk: ogłaszał światu swoje zdumienie i gniew, a grzywa udeżyła Jim Harry'ego w twarz i rozkrwawiła mu nos. Ale on dzierżył mocno lejce owinięte wokół brązowych pięści. Napiał silne uda. I tylko archanioł Gabriel ze swym ognistym miezem mógłby teraz wysadzić Jim Harry'ego z jego miejsca. Wiatr przeszedł w wichurę. Pegaz koziółkował w powietrzu. Jim Harry objął ramionami końską szyję i przywarł do niej mocno. Nie dawał się zrzucić. Spoglądając w dół, sięgał wzrokiem aż za Sierrę i widział Pacyfik.

I stała się rzecz dziwna. Pegaz, będąc koniem, przepadał za cukrem, a ponieważ był czymś więcej niż zwykły koń, wykazywał też ponadprzeciętną inteligencję. Tak więc ni mniej, ni więcej uspokoił się i szybując lotem ślizgowym z rozpostartymi szeroko skrzydłami trącił nosem kieszeń Jima Harry'ego, w której wyczuł cukier.

Z początku chłopiec nie rozumiał. Potem wyjął smakoyk i podsunął go rumakowi. Poklepał aksamitny pysk, poładził dłonią wargę konia i pokochał go. A kiedy cukier się skończył, Pegaz wydawał się już dostatecznie okiełznany. Pozwalał Jimowi Harry'emu kierować sobą, jakby od urodzenia sposobiono go do chodzenia w uprzęży. A mnie brak i słów, i talentu, by opowiedzieć o tym locie poprzez błękit, a co myślał i co czuł Jim Harry nie muszę chyba mówić. Ale w końcu słońce schyliło się ku zachodowi i Jim Harry postanowił wracać do domu. I tak był już spóźniony, a chciał pokazać Pegaza ojcu, matce i bratu. Tak więc zaczęł zniżać lot i oddalać się od Breadloaf, aż ujrzeli pod sobą zabudowania farmy.

Jednak w domu nie zastał nikogo. Cała rodzina wybrała się do miasteczka, bo był to sobotni wieczór. Zabrali ze sobą naet parobka. Jim Harry nie bardzo wiedział, co począć z Pegaem, a nie chciał go zamykać w stajni; Pegaz nie zniósłby jej odoru. W końcu puścił skrzydlatego konia na pastwisko uwiązując go na długiej linie. Potem wszedł do domu.

Jeszcze tego samego wieczora odbył krótką przejażdżkę na Pegazie, z której wrócił około dziesiątej i od razu położył się do łóżka, bo był bardzo zmęczony i wyczerpany. Nie słyszał, jak rodzina wróciła, a oni nie zauważyli w ciemnościach Pegaza.

Jim Harry obudził się o świcie potrząsany przez bladego i zdenerwowanego ojca. Stary Andy Worth znał się na koiach i wiedział, że Pegaz nie ma prawa istnieć. A jednak na północnym pastwisku znajdował się ogier ze skrzydłami i za każdym razem, kiedy Andy próbował podejść do niego bliżej, zwierzę wlatywało w powietrze jak ptak.

- On jest mój - powiedział Jim Harry. - Złapałem go wczoraj na Breadloaf.

- Boże Wszechmogący - jęknął Andy. - Taki cudak

musi do kogoś należeć. Wciągaj spodnie i chodź ze mną. Poszli na pastwisko, a Pegaz, który w nocy zerwał się z liny, wzbił się w górę wlokąc ją za sobą jak ogon. Jim Harry poczuł się okropnie. Miał wrażenie, że traci prawą rękę. - Zawołaj go - poradził Andy. - Może do ciebie

przyjdzie.

Jim Harry posłuchał ojca. Pegaz osiadł na ziemi i przebieając nerwowo nogami nie spuszczał czujnego oka z Andy'ego. - Złap za uzdę - powiedział stary. - O, tak. Teraz... ej, trzymaj go! - Bo w tym momencie Pegaz szarpnął się pociągając za sobą Jima Harry'ego. - Nie da mi do siebie podejść, co? No nic, naucz się. - Andy oglądał konia fahowym okiem.

- Rzeczywiście, są prawdziwe. Nigdy o takim czymś nie słyszałem. Gadaj teraz, co się wczoraj wydarzyło, Jimie Harry, i nie wciskaj mi żadnej ciemnoty.

Jim Harry opowiedział ojcu wszystko. Andy wierzył, w co chciał. - Nie wypalę zwierzakowi żadnego piętka. Zaprowadź go do stajni. Pójdę po trochę cukru.

- Nie chcę go wprowadzać do stajni - zaczął Jim Harry, ale za pyskowanie dostał tylko w ucho.

Nie bacząc na jego sprzeciwy umieścili Pegaza w stajni i zdrowo się napocili, zanim udało się im go uspokoić. Obarł sobie skrzydła o ściany boksu, trzepocząc nimi przez chwilę jak l;urczak w klatce. Andy kazał Jimowi Harry'emu spętać go bardzo starannie rzemieniami, a za protesty chłóiec zarobił parę szturchańców. Potem poszli do domu po Sarah, Toma i parobka Bucka.

Jim Harry powinien odczuwać podniecenie perspektywą pokazania im Pegaza, ale wcale go nie odczuwał. Koń wylądał w stajni inaczej. Potrząsał łbem, marszczył nozdrza podrażnione panującym tam smrodem. Bały się go też inne konie.

- Jadę po doktora Westa - oznajmił Andy pocierając zarośniętą brodę. - On się pozna, czy to jakiś szwindel, czy nie. Chociaż po prawdzie, nie widzę tu żadnego szwindlu. Doktor West, weterynarz, stwierdził, że Pegaz jest wybrykiem natury. On też nigdy o czymś takim nie słyszał, ale widać już dwugłowe cielę, a raz kobieta z sąsiedniego okręgu urodziła dziecko z głową kozła. Doktor West mrugnął na Andy'ego i tłumaczył mu coś półgłosem na stronie, zerkając co chwila na Sarah, która stała półprzymknięta z boku gapiąc się na Pegaza. Jim Harry nastawiał ucha, ale od niektórych rzeczy, jakie usłyszał, zrobiło mu się słabo. Jego brat Tom stał z rozziawioną gębą, z trudem łapiąc powietrze. A smród panujący w stajni był wszechobecny. To było wstrętne.

Nie widać było, żeby ktoś zdawał sobie sprawę, że Pegaz należy do Jima Harry'ego ani że Jim Harry należy do Pegaa. Uszy jeszcze go piekły od ciężkiej ręki ojca. Od matki też nie mógł oczekiwać pomocy; mało nie zemdlął dowiedziawszy się, że Jim Harry szybował w powietrzu na skrzydatym koniu.

Powiedziała, że to nie jest normalne.

- Ale takie stworzenia muszą mieć właściciela - upierał się Andy.

- Jeśli tak jest, usłyszysz o tym. Ta szkapa to kopalnia pieniędzy - powiedział doktor West obrzucając Pegaza poądlwym spojrzeniem. - Nie chcesz go sprzedać, co? - Nie, na Boga. Ja chcę... no nie wiem. Może wypożyczę go do Zoo, albo coś w tym rodzaju. Idę o zakład, że jest wart kupę forsy.

Jim Harry podbiegł do Pegaza i stanął przed boksem. n j est mój . Nie oddam go wam. . .

- Nie mów do mnie takim tonem - mruknął Andy. -

Co byś z nim robił? Skręcisz ten swój dumny kark i cud, że jeszcze tego nie zrobiłeś. Zostawiać konia na całą noc na patwisku z urwaną liną. Cud, że nie zwiął.

- O rany, to on umie latać? - dopytywał się Tom. Doktor West też popatrzył pytająco.

- Jasne, że umie. Sam widziałem. - Andy chciał poejść do boksu, ale dał spokój, kiedy Pegaz

szarpnął się do tyłu i stanął dęba parszkając. - Doktorze, chciałbym, żebyś pan wysłał z miasta w moim imieniu parę telegramów. - Na pewno nie chcesz go sprzedać...

Ale Andy nie nosił się z zamiarem sprzedaży i telegramy do rozmaitych ludzi zostały wysłane. Odpowiedzi nie nadezło wiele. Nikt nie wierzył w skrzydlatego konia. Pachniało to jeszcze jednym szachrajstwem, jakich pełno w cyrku Baruma. Z Los Angeles przyjechał pewien mężczyzna zbadać sprawę na miejscu, ale nawet on nie wyrażał chęci: i zakupu albo wypożyczenia Pegaza do swojego cyrku.

- Tak, widzę, że jest prawdziwy - powiedział zaintrygowany - ale kto w to, u licha, uwierzy? Zaraz podniósłby się krzyk, że to kłamstwo. Gdybyśmy rozreklamowali skrzydlatego konia i pokazali ludziom szkapę z guzami na grzbiecie, nie mieliby pretensji. Ale to... on jest za prawdziwy. Publiczność nigdy by w to nie uwierzyła. Posądziłiby nas, że dokleiliśmy te skrzydła. To za oczywiste, żeby było prawdziwe. - Moglibyście go puścić, żeby sobie polatał w kółko - zasugerował Andy. - To by był dowód, że jest prawdziwy. - A będzie latał uwiązany na linie?

Andy kazał już Jimowi Harry'emu przeprowadzić taką próbę, ale nic z tego nie wyszło. - No nie. Ale można go dosiadać - jest niezłe ujeżdżony.

- Za żadne skarby nie wsiadłbym na niego! Nie zrobiłby tego nawet akrobata od trapeza. Człowieku, toż to by było samobójstwo. Porozmawiam o tym z szefem, ale to niewiele da. Chyba żeby wyskubać wszystkie pióra ze skrzydeł. Może wtedy ludzie by to przełknęli.

Jim Harry podsłuchiwał przez dziurę po sęku i cały drżał. Kiedy mężczyzna odjechał, zagadnął ojca.

- Nie zrobisz tego, prawda? Jeśli oskubać Pegaza z piór... - Nie - odpowiedział z roztargnieniem Andy. - Posłuchaj, Jimie Harry, chciałbym, żebyś sprawdził, jak ten koń potrafi biegać. Nie latać - zwyczajnie biegać po ziemi. A powól mu tylko podfrunąć, to złożę cię na kwaśne jabłko. Jim Harry był wniebowzięty, że nadarza się okazja a odzyskania Pegaza. Koń był rączy. Gnał wokół północnego patwiska jak błyskawica; skrzydła położył po sobie, a spod kopyt tryskała mu ziemia. Andy, który obserwował próbną jazdę siedząc na ogrodzeniu z drewnianych bali, zdjął z głowy słomkowy kapelusz i wachlował się nim. -

Dobra jest - zawołał w końcu. Wytrzymaj go i zaprowadź do stajni.

Nazajutrz Andy wysłał następne telegramy i ściągnął na farmę człowieka, który miał zmierzyć Pegazowi czas na stoerze. Potem obaj naradzali się ze sobą jakiś czas. - Do uszu Jima Harry'ego docierały strzępy tej rozmowy. - W każdym razie jest więcej wart... cyrki przeżywają lżejszy... szybciej niż Okręt Wojenny... ale nie możesz pan...

Spojrzeli obaj konspiracyjnie na Jima Harry'ego i odeszli dalej.

zjechanymi oponami na zakrętach. Buck, barczysty, mrukoaty gbur, nie odzywał się wiele.

- Mamy mnóstwo siodeł - powiedział Jim Harry nie

mogąc znaleźć sobie miejsca na połamanych sprężynach. o co nam więcej? I po co ja mam z tobą jechać?

- Rób, co ci każe stary - burknął Buck mocując się z pedałem hamulca, który zaklinował się w otworze podłogi. Po prawej mieli pionowe urwisko opadające w bezdenną przepaść. Po lewej wznosiło się strome zbocze. Zagotowała się woda w chłodnicy i w tej samej chwili wyszli z zakrętu na prostą i ujrzeli pokręconego karła stojącego przy drodze i ściskającego w wielkich dłoniach zakrzywiony kostur. Jim Harry poznał człowieka. Kazał się Buckowi zatrzymać, ale parobek wymamrotał tylko przekleństwo pod adresem autostopowiczów i jechał dalej. Nie ujechał jednak daleko, bo silnik zgasł i zablokowały się na drodze hamulce. Karzeł zawołał do Jima Harry'ego.

- Robią coś niedobrego Pegazowi, chłopcze - powiedział. - Wysłali cię do miasteczka, żeby się ciebie pozbyć. Serce uciekło Jimowi Harry'emu w pięty. - Co oni roją? - spytał.

- Twój ojciec chce zrobić z Pegaza konia wyścigowego. Jest rączy, jak wiesz, i więcej z tego pieniędzy niż z cyrku. Ale nikt nie dopuściłby skrzydlatego konia do gonitwy, a więc do twojego ojca przyjechał doktor West i zamierzają przeprowadzić operację obcięcia skrzydeł. To dlatego wysłali cię do miasteczka. Pegaz umrze od tego, chłopcze... - Stul pysk! - wrzasnął Buck i posłał karłowi wulgarnie przekleństwo. Wskoczył też zaraz z samochodu i rzucił się na tamtego z podniesioną pięścią. Jim Harry wiedział już, jak Buck nokautuje ludzi tą gromiącą ręką, krzyknął więc ostrzegawczo i usiłował wygramolić się z Forda. Ale farmer- lei zaczęły mu się o popękane sprężyny sterczące z siedzenia.

Jednak pomoc Jima Harry'ego nie była potrzebna. Karzeł odniósł tylko swój zakrzywiony kostur i zdzielił nim Buczystko to zaniepokoiło chłopca. Poszedł do stajni, gdzie Tom nadaremnie usiłował zbliżyć się do Pegaza. - Ale narowisty - powiedział Tom. - Trzeba go ujeździć. Ja też to potrafię.

Jimowi Harry'emu stanęły przed oczami ostrogi i baty, i poblądł. Wdał się z Tomem w sprzeczkę i starszy brat wyzedł w końcu ze stajni rozeźlony. Jim Harry nakarmił wtey Pegaza cukrem i wyszczotkował go pieczołowicie, a potem wymieszał mu papkę z otrębów i nalał świeżej deszczówki.

Skrzydlaty koń opadł z sił. Jego oko straciło swój błysk, a dumna szyja nie wyginała się już szlachetnym łukiem. Peaz wepchnął Jimowi Harry'emu nos pod pachę i napierał nań, jakby zapraszając do przejazdu.

- Wiem, też bym chciał. Ale nie mogę. Tata dałby mi w skórę. Żałuję, że cię tu przyprowadziłem, Pegazie. Wyuściłbym cię od razu, gdyby... - Ale to nic by nie dało. Andy kazałby Jimowi Harry'emu przywołać z powrotem skrzydlatego konia, a Pegaz by prawdopodobnie posłuchał swojego przybranego pana. Jimowi Harry'emu przyomniła się góra Breadloaf i lot z wiatrem w zawody, i usiadł w boksie, i poryczał się jak dziecko. Ale to też nic nie dało.

Upłynęło kilka tygodni i Andy zaczął sprawiać wrażenie coraz bardziej ponurego i rozdrażnionego. Tom molestował go bez ustanku, żeby pozwolił mu ujeździć Pegaza, aż w końcu oberwał ciężką ręką ojca tak, że rozciągnął się na ziemi jak długi. Sarah właściwie się nie wtrącała,

ale wykozystywała każdy pretekst, by nie dopuścić Jima Harry'ego do konia. Wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Koń był wybrykiem natury, i to wybrykiem niebezpiecznym, i chłopcu lęły się przez niego w głowie różne zwariowane pomysły. A i bez tego był dostatecznie zbzikowany. No i pewnego dnia Andy wysłał Jima Harry'ego z Buciem do miasteczka i z jakiegoś powodu wybrali polną drogę wijącą się przez góry. Stary Ford zgrzytał, sapał i popiskiwał ka. Nie wyglądało to na silny cios; mimo to pod Buckiem ugięły się nogi i padł jak rażony piorunem.

- Żyje - powiedział karzeł. - Jest tylko ogłuszony. A ty lepiej wracaj do domu, chłopcze. Wydaje mi się, że saochód będzie teraz działał. Mówiłem ci, żebyś nie pozalał Pegazowi długo pozostawać na ziemi. On należy do nieba.

Jim Harry wślizgnął się za kierownicę i próbował uruchoić silnik. Zaskoczył bez większych kłopotów. Hamulce też nie były już zablokowane. Jim Harry z pewną trudnością zarócił wóz na wąskiej drodze i puścił się na złamanie karku w drogę powrotną do domu.

Cud, że się nie zabił. Dziwne w tym wszystkim było to, że przejechał bez szwanku przez góry i nic się nie wydarzyło, dopóki nie zbliżył się do domu. Nad rowem irygacyjnym biegnącym wzdłuż drogi przerzucony był mostek z surowych desek; w swych najlepszych czasach był rozchwiany. Jim Harry wszedł w zakręt ze zbyt dużą szybkością, lewa przedia opona uderzyła w coś i pękła. Ford wpadł w poślizg i spadł z mostka. Nie było tam zbyt wysoko, a woda ledwie ciurkała rowem, ale samochód przewrócił się i złożył jak akordeon. Jima Harry'ego zamroczyło na jakąś minutę. Ocucił go straszny ból.

Leżał we wraku, a jego prawa stopa była jednym pulsującym splotem bólu. Wydawało mu się, że jest przygnieciona pod samochodem i rzeczywiście tkwiła zmiażdżona między metalem a głazem zarytym w blocku. Gdyby samochód nie osiadł i nie zsunął się troszkę, Jim Harry mógłby tam tak leć aż do nadejścia pomocy. A najwyraźniej nikt nie słyszał łomotu, bo w stajni przeraźliwie rżał koń.

Jim Harry poczuł swąd spalenizny. Stopę miał już wolną i usiłować wstać. Ale nie mógł. Poczował się więc przez błoo i wgramolił jakoś na pochyły brzeg rowu. Spojrzał naeszcie na stopę, którą włókł za sobą.

No tak, to już nie była stopa. Nie pomógłby tu żaden chiurg. Jim Harry mógłby się jednak w końcu nauczyć posłuiwania szczudłem. Ale przypomnijcie sobie żądę włóczęgi, jaka tkwiła w jego stopach, i nic w tym dziwnego, że Jim Harry chciał już zawrócić do rowu i rozwalić sobie głowę o kawał poszarpanej blachy, który wciąż tam sterczał. Nie uczynił tego j ednak, tylko krzyknął .

Wrzawa w stodole ucichła, jakby nożem uciął. Potem pod niebo wzbił się alarmujący, oszalały ryk. Czy słyszeliście kiedykolwiek koński kwik? Nie ma niczego podobnego na tym ziemskim padole. Kwiczał Pegaz i darli się ludzie zgroadzeni w stodole. Rozległ się trzask łamanego drewna'i tuot chyżych :kopyt. Wrota stajni rozwarły się z impetem; przez sekundę zamajaczyła w nich sylwetka uniesionego na tylnych nogach skrzydlatego ńonia, całego białego, stojąceo dęba, wierzgaj ącego w powietrzu kopytami; nozdrza miał czerwone, rozszerzone.

Jakiś człowiek wrzeszczał z bólu; inny kłął szpetnie. Pegaz, wlokąc za sobą porwane rzemienie i pęknięty łańuch, puścił się jak burza przez łąkę. Rozpostarł w biegu skrzydła i krzyknął z bólu.

Jedno potężne skrzydło zbryzgało krwią.

Wzbił się w powietrze, zatoczył koło i zniżył lot kierując się na Jima Harry'ego. Wylądował lekko jak piórko obok leżącego chłopca. Pochylił łeb i trącił Jima Harry'ego w twarz aksamitnym pyskiem. Młodzieniec wyciągnął ramiona i obął nimi silną szyję zwierzęcia.

Nadbiegali ludzie. - Trzymaj go!... Co się stało?... Nie puszczaj go!

Jim Harry spojrzał Pegazowi w oczy i człowiek z koniem zrozumieli się bez słów. Chłopiec wstał podciągając się na długiej grzywie; zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. A Pegaz ukląkł, żeby Jim Harry mógł wdrapać się na jego szeroki grzbiet. Lejc nie było, ale nie były potrzebne. Gdy biegnący ludzie byli już blisko, Pegaz odbił się od ziemi. Wzleciał w górę oszczędzając trochę jedno skrzydło, ale z chłopcem na grzbiecie, zdawało się, znalazł w sobie nowe siły. Jim Harry trzymał się grzywy. Spojrzał w dół i zobaczył malejącą coraz bardziej farmę. Zobaczył tę Górę Breadloaf na wschodzie, a jeszcze dalej na wschód Sierę. - Wyżej - wyszeptał. - Wyżej, Pegazie.

Jego wzrok sięgał już za Sierę. Widział Pacyfik. Ostry wiatr łagodził palący ból w zmiażdżonej stopie. Po obu jego stronach wznosiły się miarowo i opadały wielkie skrzydła. Wyżej . .

Pegaz odrzucił w tył łeb i odpowiedział. Wznosili się szyjając na wiatrach i nie było już widać farmy, a góra Breadloaf ledwie majaczyła w dole i Dolina nie wydawała się już tak ogromna.

I wtedy, o dziwo, przemówił pokręcony, stary karzeł, chociaż Jim Harry nigdzie go nie widział.

- Pamiętaj, co ci powiedziałem, chłopcze. Pegaz stanie się twoimi stopami i zabierze cię hen, daleko; stanie się twymi oczami i ujrysz cudowne rzeczy. Ale nie dopuść, by poostawał długo na ziemi.

- Nie dopuszczę - obiecał Jim Harry.

- Nigdy już nie zniżaj lotu, Pegazie. Wzlatuj w górę... Wiatr był przenikliwie zimny. Niebo pociemniało, przyierając barwę purpury. Pojawiło się nieśmiało kilka gwiazd. Ziemia obracała się powolnym, majestatycznym ruhem, niewiarygodnie daleko pod kopytami Pegaza.

Palce Jima Harry'ego zaciskały się kurczowo na końskiej grzywie. Potem powoli, stopniowo, ich uścisk zaczął słabnąć.